

Teksty Drugie 1990, 3 , s. 1-5



Apetyt na Przemianę

Jerzy Jarzębski

teksty

DRUGIE

3
1990

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Apetyt na Przemianę

Truizmem jest mówić, że literatura się zmieniła. Zmienia się — to oczywiste, ale niekiedy do owych przemian jest niejako ponaglana i przymuszana: publiczność, krytyka, uczeni, znawcy kibicują procesom przepoczwarczenia, ba, wprost sami je inicjują lub odkrywają. W ten sposób naturalny proceder przemian napotyka z nagłą akcelerację, porywają go społeczne oczekiwania i jak gdyby na pewien czas zawłaszczają. Przemiana z naturalnego, organicznego procesu o długim oddechu przeistacza się w instytucję życia kulturalnego, „wspólną sprawę” twórców i odbiorców literatury, organizowana jest z zewnątrz, słuchając rzuconych hasel i programów.

Niekiedy historyczne wydarzenia szczególnie sprzyjają instytucji przemiany: pojawiają się wówczas liczne artykuły i wypowiedzi podsumowujące „minioną epokę” i projektujące okres nadchodzący. Tak jest i dziś. Naokół przeistacza się wszystko, więc dziwne i może naganne byłoby, gdyby literatura nie zechciała przeobrazić się również. Przywołuje się historyczne parantele: Błoński np. sądzi, iż sytuację obecną porównać można do roku 1918 — daty pierwszego w XX wieku odzyskania niepodległości.

W tym powszechnym apetycie na literacki przewrót dostrzec można refleks wiecznych zmartwień historyka literatury. Musi on periodyzować i rozgraniczać, dzielić ciągłość przemian na dyskretne odcinki; nic też dziwnego, że rozgląda się stale za miejscem, w które wbić by mógł graniczne słupy. Szuka go, co zrozumiale, gdzieś w bliskości zdarzeń historycznych, zmieniających społeczną świadomość. Ich sąsiedztwo odzywa się w nim niczym sygnał alarmowy, niezależnie od tego, jak bardzo wcześniej wierzyłby w autonomię

zjawisk literackich, niewrażliwość poetyki i filozofii utworu na polityczne konteksty. Bo historia jest przecież mnemotechniką literackich procesów przemian. Żaden inny system tak łatwo i naturalnie nie pomaga w ich porządkowaniu i kategoryzacji. Historyk literatury chciałby więc oficjalnie uniezależnić się od historyka tout court, umieć rozpoznać w dookólnym zgiełku sobie tylko właściwy ton, którym w chórze kultury uniwersalnej odzywa się jego wybrana dyscyplina. Po kryjomu jednak holduje polityce i przez nią tworzonym punktom orientacyjnym, ona mu bowiem dostarcza podziałów łatwych i czytelnych dla każdego, zwalnia z obowiązku tasiemcowych a specjalistycznych uzasadnień, którymi musiałby opatrywać swe periodyzacje, gdyby miał uniezależnić się od wszelkich dziejowych kontekstów.

Badacz literatury szuka jednak nie tylko cezur w procesie historycznoliterackim. Intryguje go stan posiadania, dorobek lat poprzednich, w którym wie, że również zmieniać się musi — w świadomości odbiorców, w krytycznych ujęciach uwzględniających nowe perspektywy i wartościowania. Historyczny przełom jest więc także zaproszeniem do robienia porządków, do ustalania na nowo hierarchii i kanonów, wreszcie — do wyrzucania pewnej ilości tekstów poza obręb bieżącego zainteresowania. W takim momencie literaturoznawca przypomina gospodarza ciasnego budynku bibliotecznego, który co jakiś czas zdecydować musi, jakie książki spakować w kartony i — z braku miejsca lub czytelników — umieścić w piwnicy, jakie natomiast ułożyć w gablocie przy wejściu, aby przyciągnąć do siebie klientów.

Sygnalów do podsumowania i przewartościowań nigdy w krytyce nie brakowało. Ostatecznie nikt z piszących o bieżącej produkcji literackiej nie zrezygnuje łatwo z szansy, by z recenzenta nowości stać się nagle kreatorem czy heroldem Wielkiej Przemiany. Ale literatura broni się przed takimi innowacjami siłą inercji i czytelniczych przyzwyczajzeń. Kiedy np. w 1973 roku wydano 4 numer „Tekstów” pod hasłem: Proza: powtórki i przeceny, okazało się, że tych przecen było zadziwiająco mało, mimo że do nich właśnie jednoznacznie zapraszał autorów redaktor. I w samej rzeczy poza jego właśnie, czyli Jana Błońskiego, atakiem na Popiół i diament niewiele tam było przewartościowań. Dotychczasowe hierarchie pozostały w przeważającej mierze nietknięte. A zatem gmachu literatury nie da się co chwila burzyć i odbudowywać na nowo. Musi spotkać się i nałożyć na siebie spora ilość różnych sprzyjających okoliczności, by Wielka Przemiana mogła naprawdę dojść do skutku.

Ale gdzież ona zachodzi, ta przemiana? Czy naprawdę w samej literaturze, gdzie trudno wszak znaleźć przypadki raptownej odmiany tematyki i sposo-

bów pisania? Owszem, w literaturze — rzecz jasna — również, ale przede wszystkim rewolucja dokonuje się w sposobie czytania i wartościowania, a zatem po stronie odbiorcy. To czytelnicy niemal z dnia na dzień potrafią odwrócić się od jednych autorów, a holdami obdarzyć innych, to oni — za sprawą często jednej, dwu znaczących wypowiedzi krytycznych — zaczynają nagle pojmować to, co dotychczas z braku zrozumienia odrzucali. Dlatego apele o przemianę i przewartościowanie są w gruncie rzeczy kierowane nie do literatury ani nawet do profesjonalnej krytyki. Naprawdę są one apelami do czytelniczej świadomości, niespokojnym pytaniem, czy już dojrzała do zrozumienia i akceptacji Nowego, a odrzucenia Starego.

To wszystko tytułem wstępu do opisu sytuacji dzisiejszej. Przemiana historyczna, jaka się wokół nas dokonuje, jest tego kalibru, że rachuby na literacką cezurę są wyjątkowo silne. Wraz z nią kanon dzieł godnych uwagi miałby się z jednej strony odchudzić, z drugiej wzbogacić. Odchudzić przede wszystkim przez ostateczne odsunięcie w niepamięć dawnej literatury „rządowej” czy „dworskiej”. Już poprzednio stanowiła ona margines zainteresowań krytyki, ale duże nakłady książek, liczne wznowienia, telewizyjne inscenizacje tekstów czyniły z tej twórczości zjawisko przynajmniej socjologiczne, o którym wiadomo było, że „trzeba będzie coś o tym w końcu napisać”. Teraz ten ciężki obowiązek przesuwają się na jakichś przyszłych historyków literatury czy kultury. Kartony z dziełami Żukrowskich i Bratnych nieodwołalnie wędrują do piwnicy gmachu literatury.

Łatwiej jednak uprzętnąć to, co straciło jakąkolwiek wagę, niż uporządkować po nowemu literacki kanon. Rewindykacje, przywracanie do społecznej świadomości emigrantów czy twórców drugiego obiegu już się właściwie dokonały lub dokonują, ale nie powstała jeszcze z tego żadna nowa, usystematyzowana całość. Nie jest to zmartwienie li tylko krytyki czy historyków literatury najnowszej. Chodzi o szeroko rozumianą świadomość czytelniczą, w której nie doszło jeszcze do scalenia różnych „odrębnych kiedyś” obiegu tekstów i wartości.

Najwięcej ucierpiała na tym nieustabilizowaniu literatura najnowsza, ta, której dotyczyła przeprowadzona w „Tygodniku Powszechnym” dyskusja o „czarnej dziurze lat osiemdziesiątych”. Notabene polemisci zabierający głos w sprawie tej dyskusji (Bugajski w „Polityce”, Szaruga w „Tygodniku Powszechnym”) w ogóle nie zrozumieli tytułowego bon mot Tadeusza Nyczka. Dotyczyło ono nie tyle sfery literackich tekstów, ile właśnie czytelniczej świadomości. Nie o to więc chodzi, że w ostatnim dziesięcioleciu brakło nowych świetnych książek, ale że one nie ułożyły się w żadną wyraźną konstelację, rozpoznawalną dla przeciętnego czytelnika. „Czarna dziura”

zieje raczej w głowach niż na bibliotecznych półkach. Czy to przypadek, że obydwaj polemiści, w zbożnej chęci uudowodnienia, że żadnej „czarnej dziury” nie było, przedstawili dwie najzupełniej odmienne listy utworów, o których „nie wolno było nie wspomnieć”? Bodaj jeden tylko tytuł – Kamień na kamieniu Myśliwskiego – powtarzał się w obu artykułach. Gdzież lepszy dowód tego, że wszelkie kanony się rozsypały, a Wielką Przemianę każdy z krytyków chciałby robić na własną modłę i przy użyciu własnego doboru lektur? Dodam od razu, że uproszczeniem byłoby sądzić, iż Szaruga reprezentuje w tym sporze literaturę autentyczną, Bugajski zaś – jakies tylko zaprzeszle układy. Rzecz w tym raczej, iż pierwszy w poszukiwaniu arcydziel sięga głównie do eseistyki, form paraliterackich, utworów pisarzy już uznanych, drugi natomiast uparcie eksponuje twórców lansowanych ongi przez Berezę. Jego „rewolucja artystyczna” w prozie poszła tymczasem gdzieś w bok, omijając społeczne zainteresowania i jako kierunek okazała się całkiem bezpłodna.

Czy zatem w ostatnich latach nie było naprawdę żadnego nowego, fascynującego pomysłu na literaturę? Czy nurt kombatancki ze wszystkimi jego słabościami, a z drugiej strony jakies malo istotne eksperymenty formalne lub obyczajowe prowokacje pozostaną jedynym wyzwaniem dla eseistyki i dzieł pisarzy uznanych starszego pokolenia? Pytam nie jako krytyk literacki, ale raczej jako kibic rozbawiony nieco sytuacją, w której wszyscy namiętnie chcą podsumowywać, zamykać i otwierać literackie okresy, tyle że materia samej literatury jakos temu nierada. Nawet głos najmłodszych pisarzy slychać słabo – tak jakby się obawiali, że poezja i proza i tak nie staną się w najbliższych latach najważniejszą sprawą społeczną. Dlatego właśnie Błońskiego porównanie roku 1990 z rokiem 1918 uważam za znamienne właśnie dla tego powszechnego pędu do podsumowywania i otwierania nowej epoki. Krytycy wykonują gesty delimitujące i rozgraniczające – rzeczywistość literacka jednak nadal jawi się słabo zróżnicowana i dokładnie zmiksowana: starzy, młodzi, krajowcy i emigranci, przedstawiciele wszystkich obiegów literackich, powieściopisarze, poeci i eseisci – nikomu nie można przypisać jakiejś szczególnie, ważniejszej niż innym roli. Gdzież tu Skamandryci czy futuryści, gdzież „nowa literatura dla nowej Polski”? Tę zapaść kultury i literatury, jaką przyniosła skomplikowana sytuacja polityczna ostatnich lat, trzeba będzie zapewne leczyć dłużej.

Apetyt na Przemianę i cóż dalej? A może jedyną siłą zdolną zafundować nam rewolucję w literaturze pozostali właśnie krytycy i historycy? Może to oni przegrupują bataliony twórców, krzykną: „Wystap!” wybranym, zdymis-

jonują odrzuconych i stworzą szybko teorię opisującą w terminach poetyki to, co się zdarzyło? A publiczność literacka zaakceptuje „przełom” — bo i cóż jej pozostaje. Podejrzewam, iż nadchodzą czasy, w których rzeczywistość literacka będzie mniej wyrazista — krytyka zaś bardziej skłonna do intelektualnych gier i współudziału w kreacji opisywanych zjawisk. Przykłady już gdzieś widać. W tej sytuacji rezerwują sobie prawo do nieograniczonej niewiary. Na początek nie wierzę w to, by esej i paraliteratura mogły zastąpić na dłuższą metę klasyczne gatunki literackie, aby — co za tym idzie — z Hańby domowej, Onych, szkiców Wojciecha Karpińskiego czy Marcina Króla dała się ulepić wielkość i chwała dzisiejszej polskiej literatury (niezależnie jak wysoko cenilibym tamte pozycje).

Myszę, że proceder podstawiania jednego gatunku piśmiennictwa na miejsce drugiego ma swoje granice, a mówienie, że literatura ma się dobrze, bo pewni ludzie piszą coś, co inni czytają z zainteresowaniem, to niebezpieczne nadużywanie pojęć. Młoda Polska też nie złożyłaby się z samych artykułów Miriama i Przybyszewskiego, nawet z dodatkiem zbiorowego wydania pism Brzozowskiego.

W co tu jeszcze nie wierzyć? O „rewolucji artystycznej” nie wspomnę, bo nie kopie się leżącego. Na dalsze koncepcje z niecierpliwością czekam.

Jerzy Jarzębski